

Marek Edelman

*Nieznane zapiski
o getcie warszawskim*

Opracowanie
Martyna Rusiniak-Karwat

Instytut Studiów Politycznych
Polskiej Akademii Nauk
Zeszyty Literackie
Warszawa 2017

Przedmowa

Rękopis znaleźliśmy siedem lat temu w domu w Łodzi. Po śmierci ojca 9 października 2009 roku po pogrzebie pojechaliśmy wszyscy do Łodzi. To od wyjazdu z Polski nie zdarzyło się chyba nigdy. Z Warszawy przywiozła nas busikiem Irenka, czyli Irena Jaros. Weszliśmy do mieszkania. Straszna pustka. Biblioteka na całą ścianę, zawsze zapchana książkami, teraz pół pusta. Nie ma zdjęć wielu przyjaciół ojca, które niezdarnie przyczepił do szklanych drzwi dzielących pokój jadalny od sypialni. Nie ma dziesiątek znaczków Solidarności przyczepionych do kilimu obok fotela w jadalnym. Szuflady biurka prawie puste. Wywieźli wszystko dwa lata temu. Kuchnia pusta. I nie ma ojca. Zostały obrazy na ścianach. Wygląda jakby mieszkanie umarło razem z nim i matką. I jakby zostało zrabowane. Takie mieliśmy odczucie. Około 2008 roku ojciec przeniósł się do przyjaciół do Warszawy. Zgodził się wtedy, żeby całe archiwa i pamiątki pojechały z nim. Dziś posiadamy kopie archiwów. W domu zostały rzeczy mamy.

Przypomina mi się, jak opowiadał o pustych mieszkaniach w palącym się getcie pod koniec powstania. Przeskakując z domu do domu, z mieszkania do mieszkania – lokatorów zagazowano w Treblince – widzieli palące się obrazy na ścianach. Zapamiętał jakiś Mané-Katza. Wiesz, on sprzedawał te obrazy za grosze, żeby żyć.

W domu są też inni łódzcy przyjaciele ojca: mąż Irenki – Andrzej, Zosia i Stefan Rossetowie – przyjaciele i sąsiedzi, Witek Rosset z żoną, Iwoną, są też nasze kuzynki ze strony mamy, Anna Rybińska i jej matka Janka Jelenkiewicz. Irenka zauważa, że jest nam przykro.

– Olek, Olek – woła – zobacz, co znalazłam w papierach mamy, w małym pokoiku. Pokazuje nam leżące na biurku poźółkle trzy małe bloczki, drobno zapisane pismem ojca. Rzucam okiem, czytuję pierwsze zdanie „Na Chłodnej”. Od razu rozumiemy, że to są wspomnienia ojca z getta.

Bloczki. To jedyne wspomnienia ojca pisane przez niego, bez filtra dziennikarza. Powoli mi się przypomina. Był rok 1967 albo 1968, to już był okres, kiedy zaczęli mieć kłopoty w pracy. Zaczynała się albo już rozkwitła nagonka na Żydów, zwanych „syjonistami”. Wtedy chyba pierwszy raz zauważyłem, że ojciec jest smutny, przygnębiony. Dość dużo przebywał w domu. Wcześniej i on i matka całe swoje życie poświęcali pracy. Kiedy bywali w domu, nie byli smutni. Pamiętam, że wyprawiali huczne urodziny, tańczyli. Później, kiedy byliśmy już dorośli, matka opowiadała, że tuż po wojnie ojciec całymi dniami leżał na kanapie i spał. Pojechali na wycieczkę po Europie, żeby wyciągnąć go z depresji. I udało się. Choć na medycynę zapisała go ona, bo ciągle było mu wszystko jedno, co będzie robił. W 1967–68 roku był przygnębiony, ale jednocześnie emanował z niego spokój. Przychodziło do nas wtedy wielu ludzi, wszyscy pytali ojca, wyjeżdżać czy zostać, wyjeżdżać czy zostać. Dyrektorzy fabryk, lekarze, inżynierowie, nauczyciele... W większości nieznani mi ludzie. Zamykali się w pokoju i godzinami rozmawiali. Był jakby znowu dowódcą. Potrafił ich uspokoić. Nie wiem, czy coś doradzał. Wyjeżdżając często ci ludzie płakali i dziękowali mu za pomoc.

Tylko matce cały czas mówił, żeby nie wyjeżdżać. Aż do 1971 roku. To pamiętam. Nie pamiętam za to, kiedy ojca przyjęli

Przedmowa

do pracy do szpitala Madurowicza, w 1967 czy 1968 roku. Znowu przyjęli cały zespół. Wtedy położył na oddziale Leszka Kołakowskiego, który obawiał się aresztowania. To pamiętam.

W latach 1968–71 początkowo w domu było normalnie. Powoli jednak wyjazdy wszystkich dookoła odbijały się na psychice matki. Zaczęła nas gnębić, żeby jechać do Francji. Tam miała przyjaciół na Uniwersytecie w Paryżu i mogła stosunkowo łatwo otrzymać roczne stypendium. Zaczęły się też mikro-szykany pod moim adresem. Raz nauczycielka w liceum prosiła rodziców, żebym nie przychodził do szkoły, bo musi przeprowadzić lekcję o syjonistach, innym razem przyjaciel z ławki powiedział, że powinienem wyjechać, żeby nie zabierać miejsca prawdziwym Polakom na Uniwersytecie (wiele lat później okazało się, że sam jest Żydem), jeszcze innym razem rodzina dziewczyny skłaniała ją, żeby nie zadawała się z Żydem, bo to niebezpieczne. Na wojsku też mnie traktowano jako studenta drugiej kategorii. To wszystko nie robiło na mnie większego wrażenia, ale w domu atmosfera stawała się coraz bardziej nerwowa. „Zostać czy wyjechać” już nie dotyczyło innych, zaczęło dotyczyć nas. To pamiętam. Dyskusje przeniosły się na teren szkoły. Koledzy podzielili się na pół. Jedni uważali, że powinienem wyjechać, że tu, w Polsce, nie ma dla mnie miejsca, inni, że mam zostać. Zgadałem się z ostatnimi. Uważaliśmy, że wyjeżdżając poddajemy się władzy, gorzej, pokazujemy, że się jej boimy. Uważaliśmy, że trzeba zostać i zmieniać ten kraj od wewnątrz. Babcia, matka matki, zgadzała się z ojcem. Mówiła: zostać, ale nie dlatego, żeby zmieniać kraj od środka. Babcia wiedziała, co znaczy emigracja. Jej najmłodszy brat latami nie mógł znaleźć środków do życia we Francji. Przymierali głodem w latach trzydziestych przez prawie dziesięć lat. Ich dwie córki przyjeżdżały często do Margolisów do Łodzi, żeby ulżyć finansowo rodzicom. Niekończące się rozmowy. Brak decyzji. W 1970 roku matka

wyjechała do Paryża z Anią. Błagała, żebym do nich dołączył. Nie zgodziłem się. Po dwóch miesiącach wrócili. I zaczęło się piekło. 1968–71 rok to był naprawdę dom wariatów. Wyjechaliśmy latem 1971. Ja na studia, Ania do szkoły. Okazało się, że babcia miała rację. Ale było za późno.

Ania nie mogła przyzwycząić się do nowych warunków. Tęskniła. Matka pracowała jako pracownik naukowy, nie jako lekarz. We Francji polskie dyplomy lekarskie nie były wtedy uznawane. Mogła dyżurować, ale odpowiedzialność brał na siebie kierownik kliniki, Pierre Royer. Znowu nie było jej w domu. Ania płakała, matka bała się, że wpadnie w dziecięcą depresję. Na wakacje zaprosiła jej najlepszą koleżankę, Zosię Lipecką. I rzeczywiście, Ani humor się poprawił. Zosia wiele lat później na prośbę ojca namalowała w łazience odaliski inspirowane słynnymi obrazami Giorgione, Ingresa, Toulouse-Lautreca. A kiedy ślad po nich prawie zaginął, ojciec, niepokieszony, poprosił Zosię o namalowanie na ich miejscu nagiej Pameli Anderson. Co też się stało. Dziś nie ma to żadnego znaczenia, spisuję jednak te wspomnienia, żeby pokazać tło i atmosferę, w jakiej powstały zapiski, które oddajemy do druku.

W 1967–68 roku ojciec miał więcej czasu. Chyba wtedy pierwszy raz stracił pracę. Wyrzucili go ze szpitala Sterlinga Akademii Medycznej w Łodzi. Solidarnie cały zespół podał się do dymisji. Znalazł pracę w Wojskowej Akademii Medycznej. Przyjęli cały zespół. Któregoś dnia portier nie wpuścił go do szpitala. Znowu cały zespół podał się do dymisji. Potem przyjęli ich do Madurowicza. I to chyba w tym okresie matka skłoniła go do spisania tego, co jeszcze pamięta. Chyba dlatego powstał ten tekst. Pierwsze i jedyne osobiste wspomnienia ojca z getta. Dlaczego tak późno trafia do druku? Nie wiem. Czy ojciec o nim zapomniał? Czy uznał, że jest nic nie warty? Pamiętam, że wysłał go do jakiejś

Przedmowa

gazety, ale tekst wrócił z adnotacją, że jest nieciekawym. Być może zawieruszył się w papierach matki i nikomu nigdy nie wpadło do głowy, że tam może być coś ciekawego, bo te papiery to były brudnopisy piosenek – pisała je dla dzieci cukrzycowych – którym organizowała letnie obozy harcerskie.

Czy znaleźliśmy historie, które ojciec spisał? Niektóre tak, inne nie, albo może nie tak dokładnie. Nie pytaliśmy rodziców o przeszłość, a oni niczego nam nie mówili. Pewne fakty znamy z rozmów, jakie prowadzili między sobą albo z nielicznych ich rozmów z przyjaciółmi, którzy przeżyli wojnę. Do nas docierały skrawki.

Książeczka jest niedokończona. Nie cały zanotowany na jednej stroniczce plan został wykonany. W dedykacji dla matki napisał, że ona wie, dlaczego nie dokończył pisanie. Prawdopodobnie dlatego, że znalazł pracę.

Aleksander Edelman

Paryż, 1 stycznia 2017 r.

Podziękowania

Praca nad oddaniem do druku zapisków naszego Ojca, Marka Edelmana, wymagała dużego nakładu pracy, cierpliwości, wyrozumiałości, zaangażowania i profesjonalności wielu osób i dwu wydawnictw: Instytutu Studiów Politycznych PAN i Zeszytów Literackich. Dziękujemy wszystkim, którzy na różnych etapach pracy nad książką pomogli nam w tym przedsięwzięciu i nie szczędzili pracy i czasu, aby książka była dla czytelnika jak najciekawsza.

Irenie Jaros za pomoc w odnalezieniu tekstu Ojca,
prof. Eleonorze Jedlińskiej za ułatwienie nam kontaktu z Martyną Rusiniak-Karwat,

Podziękowania

Gabrieli Krauze za pomoc prawną i poparcie projektu od samego początku.

Profesorowi Grzegorzowi Motyce za pomoc w ostatniej fazie pracy, dr Agnieszce Cianciarze i Maciejowi Łuczakowi za troskę o to, żeby książka była jak najlepsza i ukazała się na czas,

Elżbiecie Krzewskiej i Marcie Wilińskiej za ostateczny kształt książki i wyrozumiałość,

prof. Andrzejowi Turowskiemu za rady.

Dziękujemy Barbarze Toruńczyk za zaangażowanie i pomoc od pierwszej do ostatniej chwili, a także Markowi Zagańczykowi i Mikołajowi Nowak-Rogozieńskiemu za pomoc.

Zofii Lipeckiej za pierwszą transkrypcję, projekt okładki, za codzienne wsparcie,

Julii Juryś za pracę redakcyjną nad tekstem Ojca i podtrzymywanie nas na duchu, za zwykłą ludzką pomoc,

Martynie Rusiniak-Karwat za zaangażowanie w jak najlepsze, jak najciekawsze opracowanie Zapisków, za przedstawienie tła historycznego, za włożoną pracę i wiedzę, bez których zapiski Marka Edelmana nie byłyby dla czytelnika zrozumiałe.

Anna Edelman

Aleksander Edelman